

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

W Palmową.

U stóp Golgoty Pan tryumfował,
Bo świętej on bronił sprawy;
Zamknął wróg wściekły, co się radował
Na blizkiej chwili dzień krwawy.

Krwi chciwe tłumy chyłą swe czoła,
Ściele swe szaty mąż, panaa!
Róźdzki oliwne rzaca i woła:
„Błogosławiony! Hosanna!”

I nam Kalwaryą wróg nasz gotuje,
Nie wiedząc, co po niej będzie...
Lecz świętość sprawy już tryumfuje!
„Hosanna” brzmi nam już wszędzie.

Więc w rękę palmy, choć przed Golgotę,
Choć wrogi wściekle już mruczą!
Dalej wytrwale kwap się z robotą!
Wnet „crucifige” zahuczą.

Na wały siostro! przed twą potęgą,
Wróg się już nieraz pokorzył!
Błyśnij mu palmą, świętych spraw wstęgą,
Choćby szatańsko się srożył!

Dzisiaj „Hosanna!” dźwięczy do koła,
Nie strach nam krzyże, lecz rzeka!
Wkrótce „Resurge” Chrystus zawoła,
Po krzyżu — Wielkanoc czeka.

Więc ciesz się Polsko w dzień twój palmowy;
Niech dźwięknie pieśń twa poranna!
Bo ot wstępujesz w ślad Chrystusowy,
I tobie zabrzmi: „Hosanna!”

Walentyna Al...wicz.

Jutrzenka.

Opowiadanie historyczne według powieści
J. Ebarsa „Serapis”

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Zaprawdę godzina ta blizką jest! zakon-
czył wielki fi'ozof, a zarazem kapłan świątyni
Izydy w Rzymie.

Gospodarz zaprowadził gościa do sali biesia-
dnej, gdzie zaraz podano wino, owoce i jak naj-
wykwintniejsze potrawy.

Sala, olśniewająca białością marmarów i zło-
temi ozdobami, mająca sufit szklany, przez który
widać było lazurowy strop nieba, złotemi usiany
gwiazdami, pełna już była gości. Wszyscy cze-
kali na gospodarza, widząc, że opóźnienie się jego
wynikło z ważnej, a radosnej dla nich przyczyny.
Oczekiwał na Olimpiusza, na tego boskiego mędrca,
który przybywał do Aleksandryi, aby powrócić
dawną moc i władzę Serapisowi i Izydzie.

Nareszcie ujrzeli gościa, jak wsparty na ra-
mieniu Porfirusza, w białej tędze, w złotej na
głowie opasce, podobny do Jowisza, lekkim ski-
nieniem głowy powitał ich i miłą, zaszczycił
rozmową.

Stary, ctyły patrycyusz Alensz zbliżył się do
niego i podnosząc nań zagasłe swe oczy zapytał:

— Więc mówisz, boski Olimpiuszu, że nad
Rzymem już krzyż nie panuje?

— Maluczko a padnie u stóp Jowisza.

— I któż go straci?

— Serapis i Izyda, ci wielcy bogowie nasi.

Starzec wstrząsnął rękami, głowę opuścił na
piersi.

— Myślałem, że miecz to uczyni — rzekł z
westchnieniem.

— Bogowie potężniejsi od miecza — odparł z powagą Olimpiusz — oni błyskawice i gromy, burze i huragany, oni wszelkie niszczące potęgi trzymają w swym ręku. Nadszedł czas, że uderzą i w proch obrócą swoich przeciwników. Wszystko już obmyślane i przygotowane. Najpierw powstają: Aleksandrya, Ateny, Antyochia i Neapol. Cesarz, jeśli się sprzeciwi, chwyci się krzyża i nim zasłoni, zginie. Wielcy wodzowie jego legionów: Massala, Frencyusz i Heneryd, Goci, czekają tylko znaku, ażeby powstać i jeżeli sprzeciwić się będzie, stracić z tronu. Osadzimy na nim władcę, który jedynie stare bóstwa cześć rozkazuje, który świątynie chrześcijańskie, przybytki ludzi ciemnych, niewolników i nędzarzy, zburzyć każe, który jak wielki Dyoklecjan, wyda edykt, aby z powierzchni ziemi zniknęli wyznawcy Chrystusa. Którzy wrócą do bogów dawnych, ocaleją. Utworzymy nowe państwo pod opieką bóstw prastarych. Pierwsze hasło do boju zabrzmi tutaj, w Aleksandryi, a wnet powtórzy je tysiące miast Azji, Europy i Afryki. Śmierć chrześcijanom! Niech żyje Serapis, bóg słoneczny, którego najświetniejszą na cały świat świątynię gród wasz posiada!

Olimpiusz umilkł, a natomiast wszyscy obecni jak jeden człowiek wykrzyknęli:

— Śmierć chrześcijanom!

Miedzy zebranymi był młody dowódca legionu, stojącego załogą na jednym z przedmieść, blizki krewny Porfiryusza.

Ten, gdy uciszyła się wrzawa, rzekł, kładąc rękę na rękojeści miecza.

— Olimpiusz może liczyć na ten mój miecz i na mój legion. Na dane hasło znajdzie się tysiąc takich, jak ja wojowników, którzy uderzą na Rzym, ażeby go zdobyć i dawne powrócić prawa.

Starzec Aleusz pochwycił za rękę młodego wodza i uściśnął go gorąco.

— I ja, choć ledwie steję na nogach, chwycę za miecz, stanę na rydwanie bojowym i do boju na śmierć i życie wystąpię. Niech ginie nauka obrzydliwych chrześcijan, która nakazuje miłować nędzarzy, kaleki i cały gmin podły, plebs nikczemny, do chłost i niewolnictwa stworzony. Ja mam uznać za brata i miłować, jak siebie samego, pierwszego lepszego nędzarza, ślepcę lub niewolnika, którego wolno mi na śmierć zachłostać na każdym miejscu i każdej godzinie? Nie! to może o utratę rozumu przyprowadzić każdego kto tak, jak ja, w dawnych staropogańskich i patryuszowskich pojęciach wychowany został.

— Wyobraźcie sobie — mówił, coraz bardziej zapalając się Aleusz — nie dawniej jak przed tygodniem, ulubionemu niewolnikowi mojemu, Kajusowi, kazałem złożyć ofiary na cześć Izydy i Jowisza, albowiem spostrzegłem pewną zmianę w jego postępowaniu: ostygł zobojetniał dla demowych bożków naszych. Cóż pomyślicie?

Ten nędznik odmówił. Kazałem mu dać sto plag. Nawpół żywy, wyznał, że jest chrześcijaninem, że nadaremnie go katują, gdyż raczej ducha wyzionie, niż zdradzi Ukrzyżowanego. Nie dość na tem. Siostra jego, piętnastoletnia Liwia, słysząc że kaźnią brata, wpadła z rozwianym włosiem na dziedziniec, rzuciła mi się do nóg i oznajmiła, że również jest chrześcijanką, że pragnie, ażebym ją wraz z bratem bić kazał.

Wściekłość mnie ogarnęła. Skinałem na niewolników i kazałem ją chłostać dopóty, dopóki nie przestanie dawać znaku życia.

— Biedna Liwia! — wtrącił Porfiryusz — widywałem ją u ciebie, Aleuszu, piękność jej i dobroć malująca się w błękitnych oczach, zwracały uwagę każdego.

— A ja stary, bezdzietny — ciągnął dalej Aleusz — przywiązałem się do tego dziewczęcia, jak do rodzonej córki.

— Chłosta powinna była poskutkować — zrobił uwagę Mezeniusz, bogacz, właściciel setki okrętów handlowych.

— Gdzież tam! — krzyknął gniewnie Aleusz — na nie się nie przydała. Oboje kazałem bić i na drugi dzień, wtrąciłem do ciemnego podziemia, zagroziłem śmiercią głodową, napróżno!... Nawpół żywi, niepodobni do siebie, okryci ranami, nie złoścąc się ani słowem, prosili mnie abym im pozwolił umrzeć za Chrystusa. Nie, to szaleństwo!

— Kazałeś ich więc zachłostać? — zapytał Mezeniusz. — Dla przykładu, trzeba było to zrobić.

— Kazałem, ale gdy przybyłem do podziemia, ażeby im osobiście wyrok oznajmić, ujrzałem je puste. Uciekli, wraz z dozorcą Markiem, uciekli. I ten uwierzył w Boga chrześcijan, który sprawia, że katowani bólu nie czują i śmierci się nie boją.

— Trzeba było wysledzić, dokąd ich zabrano — mówił Mezeniusz, wychylając wielki kielich wyborczego wina aleksandryjskiego.

— Śledziłem i dowiedziałem się, że ocaliła ich „Jutrzenka“.

— Cóż to za „Jutrzenka“?

— Jakaś można, wielką tajemnicą odsłonioną patrycyuszka. Ma być młodą i piękną jak gwiazda — jutrenka. Daje ona pomoc tym nędzarzom-chrześcijanom. Dotychczas nie wiadomo, kto ona, skąd przybyła do Aleksandryi, to tylko pewna, że od roku błogosławią tę tajemniczą istotę wszyscy nędzarze.

— Pochwycić ją i zadławić — mruknął Mezeniusz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wojtuś.

Starego Wojciecha znano w całej okolicy Mokotowskich rogatek a nawet na Solcu.

Pamiętał on jeszcze owe czasy, kiedy król polski zasiadał na tronie, walczył zawsze w potrzebie kraju także pod Napoleonem.

W roku 1830 stary Wojciech mieszkał w małym domku pod Warszawą na rogatce i zarabiał na życie odbieraniem myta od wjeżdżających do miasta.

Okoliczni wieśniacy i wieśniaczki znali także starego Wojciecha i małego Wojtusia jego wnuka, który mu został na pociechę starości po jedynej córce, co umarła przed kilkunastu laty.

Starzec kochał całą duszą dziecko, które tylko jedno zostało mu na świecie.

W chacie Wojciecha nie było kobiety, — on sam razem z Wojtusiem zamiatali izbę, warzyli stawę, Wojtuś biegał do miasta na zakupno a dziadek pilnował rogatki.

Chłopczyna był watty, a z twarzy i postaci nie można było odgadnąć jego wieku. mógł mieć lat dziewięć a może i dwanaście. Wzrostu był drobnego, ale oczy miał jakieś takie mądre, a wzrok tak poważny, że patrząc w te oczy, myślało się, że przez nie przeziiera nie dziecięca dusza.

Może to opowieści dziadka, których słuchał i nasłuchiwać się nigdy dosyć nie mógł, wlały w niego przedwczesną powagę.

Bywało w długie zimowe wieczory siedzą obaj koło komina, a dziadek opowiada, jak to było w Barze, lub pod Raclawicami. Chłopeu oczy błyszczały jakimś dziwnym blaskiem, i nie raz zapominał, że nie zjadł podwieczorku i wieczera mu nie szła w gardło i nie czuł, że głodny, spać się położył a nocą usnąć nie mógł, bo mu tak myśli po głowie się tłukły, tak sobie żywo wyobrażał to wszystko, co opowiadał dziadek, że wiedział, jak wyglądają Puławski, Kościuszko, Madaliński, Zajacek, Fischer, znał wszystkich wodzów i oficerów i z imienia i z wyglądu. Nie raz myślał, że gdyby umiał malować, to takby ich twarze wymalował, że dziadek zarazby ich poznał.

Wieczorem dnia 29 listopada dziadek i wnuk siedzieli koło komina a chłopiec pytał:

— No i jakto było dziaduniu w roku dwunastym.

— Powiadam ci dziecko, że gdy Napoleon zbliżył się, to nam się zdawało, że słońce jasne spływa z nieba, a gdy wjechał do Warszawy, to nam się zdawało, że nie dzwony biją w kościołach, — ale że to w naszych duszach, i że domy inaczej stoją na ulicy. Twój ojciec był wtedy co ty dzisiaj.

— No i co?

— A no w dniu tym przepadł.

Chłopiec patrzył w oczy dziadka pytająco. Dziadek pyknął parę razy fajeczkę i mówił dalej:

— Rano toś my się dziwowali, że przepadł, bo mało kto dnia tego doma usiedział, ale i po ludnie mija. jego nie ma, i wieczór idzie, jego nie ma. Matka płacze, że dziecko przepadło, że go zdusili. Ja z początku burczałem kobietę, ale gdy noc zapadła, a on nie wrócił, gdy nazajutrz rano go nie było — sam już nie wiedziałem, co czynić. Rozbiegliśmy się, szukaliśmy, pytaliśmy znajomych, ale nikt go nie widział.

Już nie wiemy co robić, aż tu wraca obłocony, w rozdartem odzieniu, z wypiekami na twarzy i krzyczy: Widziałem! widziałem! Nikt nie pytał kogo, bo każdy rozumiał, że o Napoleonie mówił.

— Gdzie widziałeś?

— Cały dzień leżałem w ogrodzie pod płotem przy drodze, która miała przejeżdżać — ale że nie dojrzałem, bo mi go ludzie zasłonili, więc wieczorem wgramoliłem się na dach domu naprzeciw zamku i widziałem i jego i świętą całą, jak jechali przy blasku pochodni.

— A czemuż nie wróciłeś w nocy.

— Bo niewiedziałem, któredy zleźć z dachu i całą noc przesiedziałem trzymając się komina.

— Oj! i ja bym zrobił to samo. Czemu teraz nie ma wojny, — zawołał Wojtuś.

— Wojna to rzecz wielka, ale straszna, ludzie się modlą śpiwając: „O! powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!“ a ty dziecko jej pragniesz.

— Dziaduniu! jabym chciał być takim bohaterem jak Puławski. Kościuszko.,

— Puławski był jeden, Kościuszko jeden, a tych co potratowali, posiekali, było dużo, dużo.

— Ach niechbym i zginął, byle być w ogniu, byle bić Moskali i walczyć za wolność i Polskę!

Wtem ktoś zapukał. Drzwi się otworzyły a do izby wpadł młody podchorąży. Wojtuś wcisnął się w kąt i ztamtąd patrzy na błyszczący mundur młodzieńca.

— Panie Wojciechu, rzekł młodzieniec spiesznie, — mam ci powiedzieć tajemnicę wielkiej wagi, — czy nikt tu nie posłucha.

— Nikt — odparł stary Wojciech — bo przed dzieckiem nie miał tajemnic.

— Wiesz, dzisiejszej nocy wybuchnie powstanie.

— Najświętsza Panno Czystochowska! — szepnął Wojciech, a Wojtusia w kącie coś jakby za gardło chwyciło.

— Jako hasło ma wybuchnąć pożar na Solcu. Na ten znak ludność ma się rzucić na arsenał i zdobyć broń, której jeszcze nie mamy.

Cisza zapanowała w izbie. Przerwał ją młody podchorąży.

— Potrzebuję waszej usługi Wojciechu.

Wojciech zamiast odpowiedzi wstał, wypre-

żył się po wojskowemu, przytknął dłoń do skroni i słuchał.

Podchorąży mówił wolno, z naciskiem:

— Potrzeba, żeby ktoś, komu można bardzo zaufać, podał kartkę z Belwederu do arsenału, ale to w ostatniej chwili, gdy już wszystko będzie w ogniu. Nie można do tego użyć nikogo z wojskowych, ale kogoś, kogo nikt nie posądzi, że jest naszym posłańcem.

— Słucham, panie podchorąży — rzekł stary.

— Pamiętajcie, że rzecz to barzo wielkiej wagi.

— Rozumiem.

— O godzinie 11-tej macie stać na ulicy pod parkanem Belwederu, gdzie leżą kamienie, a tam wręczą wam kartkę.

— Rozumiem.

Podchorąży wyszedł.

Malec wysunął się z kąta i z okiem błyszczącym rzekł stłumionym głosem pełnym zachwytu:

— Wojna! dziaduniu!

— Ha! no! tak.

— Dziadaniu, weźmiesz mnie ze sobą, gdy będziesz szedł do Belwederu.

— Jeszcze cię zmasakrują.

— Jak kot się przecisnę, przemknę, a może i tobie zdam się na co.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wesoły kącik.

Zrzedny.

— Maryniu, nie wiesz, gdziem położył moje okulary?

— Nie, proszę ojca.

— Szczególnie! Jak wy dziewczyny pamięci nie macie!

Z wojska.

— Kapral: Rozumiesz?! Tera je „habtak“ (habt acht) i choćby nawet piorun w ciebie trzasł to masz stać „habtak“!...

— Rekrut: Rozumiem, panie kapral! Niech w was piorun trzaśnie, a ja będę stać „habtak“.



ŁAMIGŁÓWKI

I.

Wyrazów 9. Początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znanego skrzypka polskiego. Sylaby: A-an dye-da- czyc-in-ła-mi-noe-oz-sztaw-staw-ski-ster-ta-wir.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Starsi oficerowie.
- 2) Bogini.
- 3) Kwiat.
- 4) Przeciąg czasu od zachodu do wschodu [słońca].
- 5) Kraj w Azji.
- 6) Woda stojąca.
- 7) Kanclerz koronny w XVI wieku.
- 8) Komedypisarz.
- 9) Artysta grający doskonale.

II.

Wyrazów 7. Pierwszy wyraz i początkowe litery następnych składają nazwę mechanicznej, grającej szkatułki.

Znaczenie wyrazów:

- 1)
- 2) Zdrobniła nazwa pomieszczenia dla krów.
- 3) Sławny kompozytor muzyczny.
- 4) Przymiotnik.
- 5) Po francusku koniec.
- 6) Zaimek.
- 7) Spółgłoska N.

III.

Pierwsze, według gramatyki.
Czy postawisz z wykrzykniki,
Czy przyimek, samogłoska,
To już dla nas mała troska.

Drugi czwarty — rzecz to znana:
Mógłby nosić nazwę pana
Lecz nie dorósł on do niego,
Więc ma imię zdrobniatego.

Trzeci czwarty — plyn tak zwany —
Najlepszy jest, gdy źródłany.
Nie z niemiecka, zdaniem mojem,
Lecz go lepiej zwać napojem.

Wszystko ma od „Pogotowia“,
Komu nagle zbrakło zdrowia,
Albo kogo na ulicy
Poranili napastnicy.

Byle tylko, co się zdarza,
Nie zastało tam nędzarza
Chorego lub ranionego,
Lecz już trzeciego drugiego.

